

Ze wspomnień starca sędziwego Z. M.

On jednak będąc miłosierny...

Jak w karaimejskiej szkole niegdyś nauczano i karano.

Kilkadziesiąt lat temu u nas, Karaimów trockich, nauczanie dzieci było oparte na zgoła innych zasadach, wcale niepodobnych do dzisiejszych. Przede wszystkim wierzono mocno w świętą siłę bicia uczniów, a słuszność tego dowodu potwierdzała spora ilość tekstów z Pisma Świętego. Toteż nauczyciele ówczesni szeroko posługiwali się różgą, a w jeszcze większym stopniu tak zwaną „żyłą”, jaka musi być pamiętna jeszcze sporej liczbie osób, które uczęszczały do karaimejskiej szkoły ówczesnej. Bito w „łapę” albo gdzie się przyszło, lecz w przewinieniach większego znaczenia bito po piętach. Generalna procedura bicia w szkole karaimejskiej odbywała się zazwyczaj w piątek, przed świętem. Dostawało się każ-

demu, w miarę przewinienia i zasług jego – byli bowiem nauczyciele, którzy udzielali tego środka leczniczego i dla lepszych uczniów, by oni w przyszłości nie zmienili swych postępów w naukach i sprawowaniu się.

Z chwila, kiedy u prawowiernego Karaima podraślał syn do lat 8–9, ojciec brał go za rękę, przyprowadzał do szkoły i przemawiał do nauczyciela mniej więcej w sposób następujący: „Oto jest syn mój, daję go ci w naukę, możesz pozostawić z niego duszę i kości, byle tylko był uczony”... Toteż ciężkie zajęcia miewali uczniowie, szczególnie z grona niepilnych w nauce lub mniej zdolnych, lecz, broń Boże, uskarżać się na nauczyciela, albowiem od rodziców dostałby w dodatku jeszcze potężniejsze „łanie”.

Otóż właśnie chcę opowiedzieć pewne prawdziwe zdarzenie z czasu moich lat szkolnych.

Ojciec mój trudnił się rolnictwem, lecz nie mając własnej ziemi, dzierżawił majątki, większe czy też mniejsze, położone w znacznej nieraz odległości od Trok i szkoły. Jak na dzierżawcę, na owe czasy, był człowiekiem dość zamożnym. Ja więc byłem na stacji u swego nauczyciela, który jednocześnie był i Hazzanem. Był nim naonczas p. A[bko]wicz. Uczeń był ze mnie pilny, sprawowania nienagannego, tak że przed tym wypadkiem, o którym będzie dalej mowa, nie przyszło mi zakosztować smaku „żyły”.

Jakoś przypadkowo, nie pamiętam z jakich powodów, wytworzyła się we mnie ogromna chęć nauczenia się nauki świeckiej; w szkole uczono nas wyłącznie tylko języka macierzystego i religii; o rachunkach, o jakiejś tam geografii i t.p. nawet i pojęcia nie mieliśmy. Spośród starszych uczniów był wprawdzie jeden, krewny Hazzana, który umiał czytać po rosyjsku i na skutek wielkich prośb moich zgodził się uczyć mnie. Z zaoszczędzonych pieniędzy kupiłem abecadło i zaczęła się nauka pokryjomu, w największej tajemnicy. Dlatego,



Zachariasz Abraham Mickiewicz (1842–1926), hazzan w Trokach w latach 1913–1915 (młodszy hazzan) i 1918–1922 (starszy hazzan).

Archiwum rodziny Eszwojczów



by nie zwracać uwagi uczyłem się najwięcej siedząc za piecem, w zakątku, gdzie stało moje łóżko.

Lecz wkrótce tajemnica wyszła na jaw. Pewnego razu, zapytał nauczyciel kolegów moich:

– A gdzie Zacharjasz? Czemu to jego nie widać?

– On uczy się – odpowiedziano.

– Uczy się, to dla czego się schował?

– On „ruskiego” się uczy, proszę pana nauczyciela.

– Co? Ruskiego? Powołać go!

Powołano mnie natychmiast.

– Co robisz? Czy prawda, że uczysz się obcego języka?

– Prawda, proszę pana nauczyciela – odpowiedziałem ze skruchą.

– Przynies książkę.

Przyniosłem. Nawet jeśli bym i zaparł się „zbrodni”, to ona ujawniłaby się przy spojrzeniu na abecadło: nad każdą literą moją ręką była napisana jej nazwa po karaïmsku.

– Aha, już i ponapisywał! Dobrze, bardzo dobrze...

Starszy hazzan Zachariasz Mickiewicz i młodszy hazzan Rafał Abkowicz z wiernymi przyjmują przed kienesą polskich żołnierzy z 3 batalionu 1 pułku piechoty Legionów WP. Troki, 6 września 1919 r.

A gdzie kupiłeś abecadło?

– W sklepiku u Krymczaka za 3 kopiejki, proszę pana nauczyciela...

– Dobrze, bardzo ładnie, nie ma co mówić! I to z najlepszych uczniów... Zobaczymy, co powie twój ojciec na to... Ja mu opowiem wszystko... Zobaczymy!

Ojciec mój przyjeżdżał do miasta prawie co tydzień, w niedziele, tak w celu załatwienia spraw, jak i dla odwiedzenia mnie. Przyjazdu ojca na ten raz oczekiwałem ze strachem i prze-czuwałem coś złego. Abecadło mi zabrano.

W najbliższą niedzielę po wypadku przyjechał ojciec. Było to w zimie; pamiętam, że ojciec był ubrany w wielki kozuch przepasany wełnianym pasem tkanym w desenie. Po przywitaniu się z Hazzanem, zapytał się o mnie.

– Jakże mój Zacharjasz ma się? Jak się uczy?

– Co mu się dzieje... – odpowiada nauczyciel. – Zdrow, chwała Bogu, uczy się dobrze... Tylko, patrz pan, złapałem go uczącego się ruskiego języka, ani się zapierał; ma już i abecadło własne...

– Czy prawda? – zapytał mnie ojciec.

Karaimska szkoła w Trokach mieściła się po sąsiedzku obok kienesy. Znacjonalizowany przez władze sowieckie budynek obecnie znów znajduje się w rękach karaimskiej społeczności. Odbywają się w nim zajęcia podczas Letniej Szkoły Języka Karaimskiego.

Fot. Archiwum ZKP



– Prawda, proszę ojca – odrzekłem.
– A czy wiesz jaki skutek będzie z tego? Otóż nauczysz się obcej mowy, będziesz obcował z ruskimi, przestaniesz pilnować świąt i własnej wiary, będziesz może kluczwojtem [ówczesny tytuł rosyjskiego urzędnika], a potem zechce się ci jeszcze i wychrzcić... O, co cię czeka!.. Rozumiesz?!

Ojciec z nauczycielem, po przeczytaniu mnie jeszcze całej lekcji w rodzaju powyższej, udali się do miasta, skąd obydwaj powrócili już nieco podhumorzeni.

– No, to cóż wreszcie będziemy robili z tym zsubrawcem? – zapytał Hazzan ojca.

– A cóż, dać mu w pięty na „On jednak będąc miłosierny”, ażeby pamiętał na przyszłość i słuchał starszych!

– Zdejmuj buty – kazał mi ojciec.
Zdjąłem.

– Siadaj na podłogę.
Wykonałem i to.

Tymczasem nauczyciel wydobyl na świat Boży brzozową maczugę z buławą na jednym końcu, którą używał dla tarcia tabaki; ojciec rozparał swój pas wełniany, którym przywiązał moje boscie nogi w kosteczkach do owej maczugi i wziął do ręki „żyłę”. Nauczyciel podjął maczugę z nogami do góry, na pięty położono abecadło, a ojciec uderzał „żyłą” po piętach i za każdym uderzeniem wymawiał po jednym wyrazie: *On jednak będąc miłosierny odpuszczał*

nieprawości ich, a nie zatracał ich, ale często-kroć odwracał gniew swój, a nie pobudzał wszystkiego gniewu swego (Psalm 78, 38).

Odczuwałem ból nie do opisania; sądzić może o nim tylko ten, kto sam spróbował tej przyjemności; abecadło spadło za pierwszym razem, za każdym uderzeniem krzyczałem w niebogłosość. Lecz samy straszny wyraz był ostatni, a to dlatego, że ojciec w uniesieniu powtarzał go, dopóki tchu starczyło, a za każdym powtórzeniem padało coraz silniejsze uderzenie...

Na tem kończyła się egzekucja. Rozwiązano biedne nogi moje; z bólu i ze wstydu schowałem się za piec, w mój zakątek i płakałem dopóty, dopóki łez starczyło, a ojciec z Hazzanem ponownie poszli na miasto, by się nieco ochłodzić.

Wieczorem, podczas zachodu słońca, nauczyciel z uczniami zbierał się iść na zwykłe codzienne nabożeństwo. Lecz pięty moje opuchły na tyle, że nie mogłem stanąć na nogi od bólu.

Po nabożeństwie przyszedł służka kienesy, który na polecenie nauczyciela zabrał mnie i na plecach odniósł do krewnych ojca. Tam przeleżałem tydzień, kiedy przyjechał ojciec i zabrał mnie do domu. Pięty były wciąż spuchnięte, skóra popękała i odstawała kawalkami, tak że w domu ja przeleżałem jeszcze ze 3 tygodnie, dopóki rany się nie zagoiły.

Od tego wypadku przeszło z górą 70 lat; nie ma już na świecie ani mych nauczycieli, ani nawet rówieśników i kolegów szkolnych, a jed-

nak ja nie zapomniałem i nie zapomnę chyba do śmierci, jak mnie bito za chęć do nauki. Nie mogę tego przez całe życie darować ni nauczycielowi, ni ojcu, chociaż w wieku 20 lat już sam miałem stopień uczony karański. A po rosyjsku nauczyłem się, kiedy miałem 35 lat...

Takie to były zwyczaje i obyczaje!

Zapisał J. Charczenko.

Współczesnym okiem

Na łamach „Myśli Karańskiej” (rok 1925, numer 1 (2), s. 29-32) ukazały się wspomnienia byłego hazzana trockiego, Zachariasza Mickiewicza (1842–1926), podówczas będącego w wieku mocno już podeszłym. Opowiedział on o początkach swojej karańskiej edukacji pod okiem hazzana Ananiasza Abrahama Abkowicza (1817–1876), pełniącego posługę w Trokach w latach 1844–1876. Redakcja „Myśli Karańskiej” zastrzegła, że „zamieszcza niniejsze opowiadanie jako jeden ze sporadycznych epizodów z dziejów dawnego szkolnictwa karańskiego. Epizod ten obecnie posiada charakter tylko historyczny, zbyt bowiem odległy, bo wynoszący prawie 1/4, wieku, od nas, jest czas kiedy odbywa się omawiana akcja.”

Zachariasz Mickiewicz w swojej opowieści ukazuje kilka elementów godnych zainteresowania: tradycyjny system edukacji – w którym chłopcy po osiągnięciu odpowiedniego wieku byli przekazywani pod skrzydła duchownych, nauczycieli religii odpowiedzialnych za realizację, jak byśmy dziś powiedzieli, podstawy programowej, na którą składały się przede wszystkim przedmioty związane z wychowaniem religijnym: język hebrajski – święty język Pisma i język karański, w których recytowano część modlitw w kienesie. Jednym z elementów programu nauczania było wspólne uczęszczanie na codzienne nabożeństwa w kienesie.

Oczywiście, największe wrażenie robi opis kar cielesnych stosowanych w ówczesnym procesie edukacyjnym. Dziś to rzecz absolutnie nie do przyjęcia. Także redakcja „Myśli Karańskiej” zastrzegła, że kary cielesne nie są już w latach 20. XX wieku stosowane w edukacji. Jednak można tu mieć pewne wątpliwości. Niewątpliwie w szkole powszechnej, która ówczesnie obowiązywała wszystkie dzieci niezależnie od przynależności religijnej czy etnicznej, tradycyjnych karańskich kar nie stosowano. Jednak w opowieściach niepokornych uczniów z tamtych lat można znaleźć wspomnienie „żyły” (sprężystego

nietego końskiego członka) i piątkowej tradycji kary następczej lub prewencyjnej. Pojawia się *żyła* również w dziecięcej wylizance napisanej w 1920 roku przez Szymona Firkowicza, późniejszego trockiego hazzana, również karzącego w ten sposób niesfornych chłopców na wyraźną prośbę ich rodziców:

Bir, eki, taban eski,
Ücz, diort', żyładan biort',
Biesz, alty, awruw aszty,
Jedi, segiż, aszchan tengiż,
Tohuz, on, korchuwdan son.

Jeden, dwa, podeszwa stopy stara,
Trzy, cztery, puchnie od żyły,
Pięć, sześć, ból zniknął,
Siedem, osiem, morze przebyte,
Dziewięć, dziesięć, już po strachu.

Widać zarówno w połowie wieku XIX, jak i na początku XX, kara wykonana przez hazzana, autorytet moralny, miała w procesie wychowawczym znaczenie.

Kolejnym elementem, na który warto zwrócić uwagę, jest zakaz uczenia się języka rosyjskiego. Zgodnie z opowieścią autora, w tym okresie szkolnictwo karańskie było jeszcze prowadzone w sposób tradycyjny i obejmowało jedynie przedmioty związane z religią, nie było pośród nich przedmiotów świeckich. Wydarzenia, których dotyczy opowieść, miały miejsce w początkach lat 50. XIX w., czyli jeszcze przed Powstaniem Styczniowym i jego późniejszymi reperkusjami w postaci wprowadzenia w 1864 roku szkół obowiązkowych elementarnych i rusyfikacji szkolnictwa na terenach dawniej Rzeczypospolitej.

W tym samym okresie w wileńskim I Gimnazjum, które niewątpliwie prowadziło edukację świecką, byli Karaimi. Pośród absolwentów znajdujemy w roku 1846 Romualda Kapłanowskiego (późniejszego lekarza wojskowego w randze generała), w 1848 – Romualda Kobekiego, a w roku 1868 – Rafała Abkowicza, późniejszego generała-lekarza, syna tego samego Ananiasza Abkowicza, nauczyciela opisywanego przez autora opowieści. Można się więc zastanowić, czy zakaz uczenia się języka rosyjskiego był formą obrony przed rusyfikacją mieszkańców Wileńszczyzny, czy oporem przed edukacją świecką. Niewątpliwie jednak u podstaw zachowań rodziców i nauczycieli leżał lęk przed obraniem przez dziecko drogi prowadzącej poza nawias własnej społeczności.

Mariola Abkowicz